



17

Szymon
rośnie
w słupkach



20

Iwan Wyrypajew:
Ojciec nazywa
mnie zdrajcą



84

Pierre Cardin
– przestarzały
futurysta

Temat tygodnia

- 10 Ginekolog – polityczny zawód medyczny**
11 Rozmowa z **dr. Maciejem Sochą** o tym, jak politycy odebrali godność lekarzom, rodzicom i dzieciom

Polityka

- 14** Mariusz Janicki
PiS, czyli „przyrodzone pany”
17 Rafał Kalukin
Szymon Hołownia – odpowiedzialny lider czy egocentryczny solista?
20 ROZMOWA POLITYKI
Iwan Wyrypajew, dramaturg, reżyser i aktor, o tym, dlaczego Putin boi się Nawalnego i o milczeniu rosyjskich artystów

Społeczeństwo

- 24** Ewa Wilk
Autoritety dla współczesnego Polaka
28 Joanna Cieśla
Urządowe techniki spławiania obywateli
31 Katarzyna Kaczorowska
Coraz więcej świeckich pogrzebów

Rynek

- 34** Adam Grzeszak
Bezlądny Nowy Polski Ład

- 37** Joanna Solska
Bankrutujące biznesy: przewoźnicy, hotele, restauracje...

Świat

- 40** Łukasz Wójcik USA
Antony Blinken – nowy szef nowej polityki zagranicznej
44 Michał Lubina BIRMA
Armia ma państwo
46 Marek Orzechowski NIEMCY
Jak wirus pożarł karnawał

Nauka i cywilizacja

- 48** Tomasz Witkowski
Jasna strona złych emocji
51 Paweł Walewski
Smog a covid
54 Przemysław Ziemacki
Dobry wiatr dla żaglowców

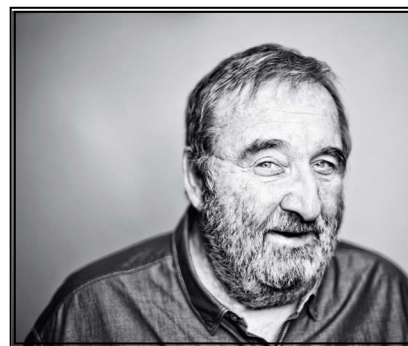
Historia

- 56** Dariusz Łukasiewicz
Życie kawiarniane
59 Marcin Piątek
Szurkowski i jego drużyna

Kultura

- 66** Piotr Sarzyński
Jak pandemia zmienia architekturę
69 Marcin Zwierchowski
Odwagne adaptacje dzieł Lema

- 72** Rozmowa z **Mirą Marcinów**, laureatką Paszportu POLITYKI w dziedzinie literatury
76 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
78 Juliusz Ćwieluch
Krzysztof Kowalewski – komediant o zabarwieniu tragicznym

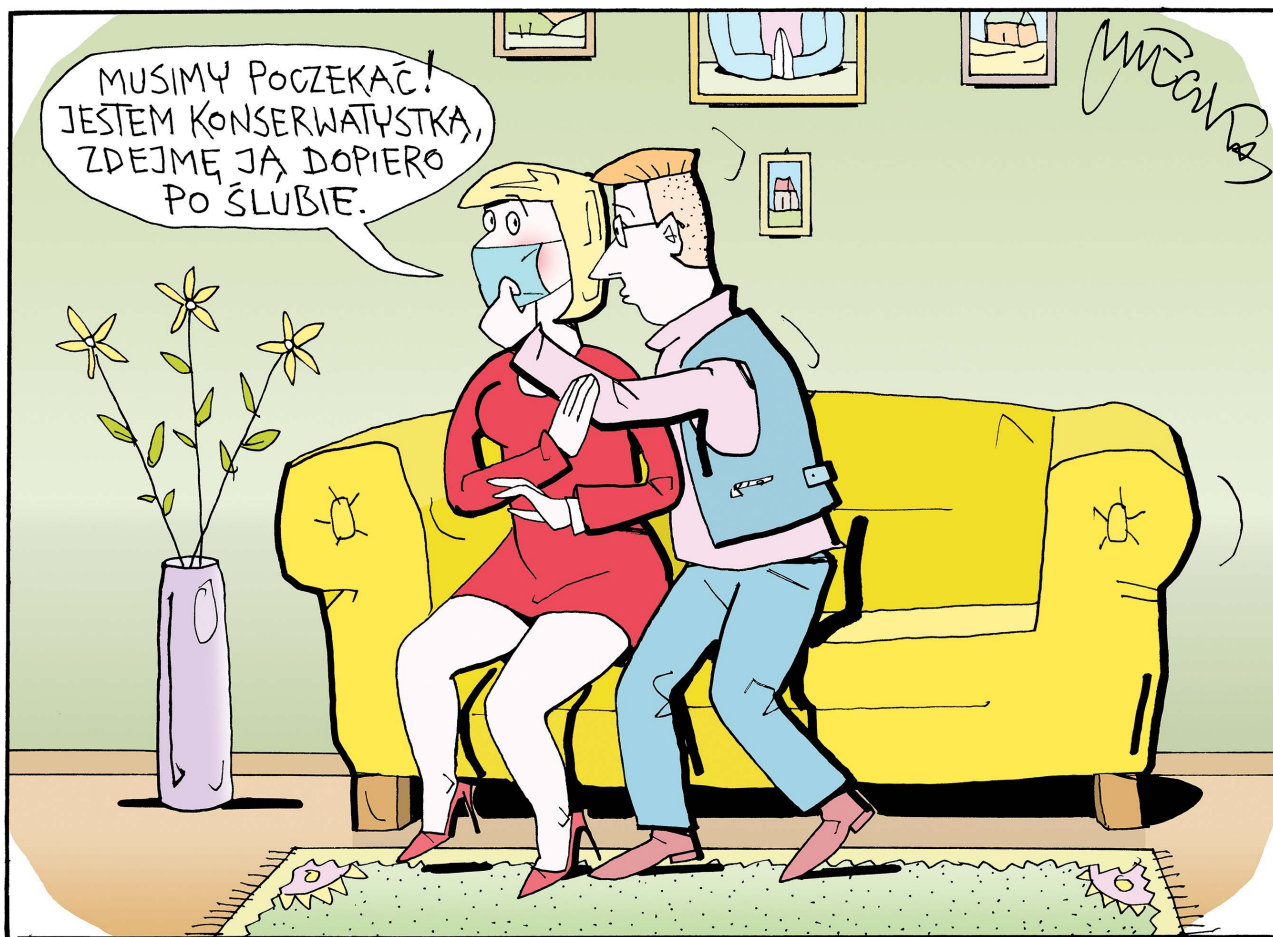


Na własne oczy

- 84** Michał Zaczynski
Małe i duże interesy wielkiego kreatora

Stałe rubryki

- **4** Mleczko i Mizerski
• **5** Ludzie i wydarzenia
• **62** Afisz • **80** Chutnik i Plebanek
• **81** Hartman • **82** Passent
• **83** Tym • **90** Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Czym różni się od siebie osoba LGBT

Gmina Szprotawa (woj. lubuskie) niespodziewanie ogłosiła, że zobowiązuje się „do poszanowania różnorodności wszystkich osób bez względu na płeć, rasę, wiek, niepełnosprawność, pochodzenie etniczne, wyznanie, światopogląd i orientację seksualną”. Agencje nie podają, co było powodem podjęcia przez Szprotawę tak kontrowersyjnej decyzji. Niektórzy mieszkańcy nie są pewni, czy z tak szerokim poszanowaniem Szprotawa nie przesadziła. Mówi się, że zwłaszcza poszanowanie praw osób homoseksualnych może mieć dla Szprotawy przykre konsekwencje. Burmistrz Mirosław Gąsik jest jednak optymistą. „Nie obawiałbym się reakcji rządzących. W końcu należymy do tolerancyjnego narodu” – przypomniał. A poza tym „krzywe patrzenie na osoby LGBT jest niskim odruchem”. Z niskimi odruchami wobec osób LGBT należy walczyć, ale nie jest to łatwe. Niedawno Sąd Okręgowy w Warszawie musiał oddalić powództwo o ochronę dóbr osobistych przeciwko Kai Godek, która obrażała osoby LGBT, nazywając je „zboczeńcami”. Są uznał wypowiedź za niedopuszczalną, ale ponieważ pozywający nie przedstawili dokumentów potwierdzających, że są osobami LGBT, nie było żadnej pewności, że Godek obrażała właśnie ich. „Niewątpliwie inkryminowane wypowiedzi pozwanej odnosiły się do osób o orientacji homoseksualnej” – przyznał



sędzią. Z tym że według niego „żaden z powodów nie wykazał skutecznie faktu przynależności do tej grupy”. Osoby te przedstawiły wprawdzie dowody na to, że działają w organizacjach LGBT oraz mają jedнопłciowych partnerów i partnerki, jednak sędziego to nie przekonało. Uznał on, że do bycia gejem nie wystarcza to, że się nim jest. O tym, czy dana osoba faktycznie jest tym, kim wydaje jej się, że jest, w opinii sędziego nie może decydować ta osoba, bo doszłoby wówczas do sytuacji, w której decyduje ona we własnej sprawie, co zdaniem sądu jest niedopuszczalne. *Dura lex sed lex*, dlatego „fakt przynależności każdego z powodów do grupy osób o orientacji homoseksualnej (czy biseksualnej) winien zostać przez nich wykazany za pomocą dowodu w postaci opinii biegłego sądowego seksuologa” – nie pozostawił wątpliwości sędzia.

Z powodu posiadania partnera tej samej płci komuś może się wydawać, że jest osobą homoseksualną, ale zdaniem sędziego nie dowodzi to, że istotnie nią jest, gdyż byłoby to za proste. Musi jeszcze przedstawić aktualne zaświadczenie o swojej orientacji seksualnej. Jego zaletą jest to, że gwarantuje osobie homoseksualnej pełnię praw i gdy np. ktoś nazwie taką osobę „zboczeńcem”, będzie ona miała pełne prawo wziąć to do siebie i czuć się obrażona.

Protest mediów



Jerzy Baczyński

Już dawno nie było takiego oburzenia wśród wydawców prasy, nadawców radiowych, telewizyjnych, w przemyśle reklamowym. Protestują wszystkie organizacje branżowe, niektóre bardzo niedyplomatycznym językiem. Szykowane są akcje protestacyjne w formach i skali, jakich Polska, a nawet Unia Europejska nie widziały. Powód: ogłoszony właśnie zniżeniowy projekt nałożenia na media – i to już od połowy roku – nowego podatku, nazwanego „składką od przychodów reklamowych”, w wysokości od kilku do kilkunastu procent. Generalnie w ogóle miało nie być nowych podatków, ale już obciążenie potężną daniną branży medialnej i reklamowej, wyjątkowo ciężko dotkniętych zamrożeniem gospodarki, wydaje się krzywdzące, wręcz złośliwe.

W ciągu roku wpływy reklamowe wydawców prasy zmniejszyły się mniej więcej o połowę, spadła sprzedaż większości tytułów, firmy medialne utraciły dochody z organizowanych konferencji, konkursów, nie odbywają się napędzające reklamowy ruch imprezy kulturalne, sportowe, zamarł handel, turystyka. W Anglii, Niemczech, we Francji tamtejsze rządy przedstawiły właśnie hojne, liczone w setkach milionów euro, programy wspierania tracących źródła dochodów lokalnych mediów. U nas odwrotnie: rząd planuje, że nowym podatkiem wyciągnie z tego słabnącego rynku nawet 800 mln zł rocznie. Organizacje przedsiębiorców piszą, że dla wielu mniejszych firm to może oznaczać koniec biznesu; a w każdym przypadku ograniczenie aktywności, zatrudnienia, rezygnację z wielu planów ożywiania poturbowanych pandemią firm. Więc po co to? Wygląda, że chodzi nie o pieniądze, lecz o politykę.

Projekt został ujawniony w pośpiechu (zapewne w reakcji na polityczny sukces prezesa Orlenu, któremu prezes Kaczyński wylewnie gratulował przejścia wydawnictwa Polska Press), ale musiał być przygotowywany od dawna, w ramach szerszego planu, gdyż zawiera rozwiązania precyzyjnie celowane i pracowicie kamuflowane. W nazwie ustawy nie ma słowa o podatku (wtedy powinien być ogłoszony w ubiegłym roku), ale o „dodatkových przychodach” na służbę zdrowia (?), ochronę zabytków (?) oraz na nowy tajemniczy Fundusz Wsparcia Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Obszarze Mediów (FWKIDNwOM). Premier w słownym uzasadnieniu dodał, że głównym zamysłem jest obciążenie opłatami amerykańskich internetowych megaplatfrom, czyli wprowadzenie jakiegś podatku cyfrowego, z którego Polska w swoim czasie zrezygnowała pod naciskiem wiceprezidenta USA Mike’a Pence’a. Nic tu nie jest prawdą, bo nowy podatek w najmniejszym stopniu uderza w globalne korporacje, skutecznie wymykające się lokalnym przepisom fiskalnym, za to niewątpliwie godzi w podmioty krajowe. Dodatkowo przepisy tak są skalibrowane, aby najmocniej trafić w opozycyjne media (zwłaszcza Agorę i TVN) oraz wesprzeć media „narodowe i patriotyczne”: temu ewidentnie ma służyć pozostający w gestii ministra Głińskiego (wart, jak się ocenia, ok. 280 mln zł) FWKIDNwOM. TVP i Polskie Radio, choć formalnie objęte składką, i tak byłoby poza dolegliwościami ustawy, dysponując co roku 2 mld zł dotacji z budżetu i reklamami spółek Skarbu Państwa (stacje TVP mają ich proporcjonalnie 10–20-krotnie więcej niż np. TVN).

Środowisko wydawców ironicznie nazywa ten projekt Lex Agora, bo to wydawnictwo musiałoby płacić i od przychodów

reklamowych „Gazety Wyborczej”, i Radia TOK FM (podwyższonym podatkiem objęte są dominujące w radiach reklamy artykułów medycznych i suplementów diety), i od firmy reklamy zewnętrznej AMS, i nawet od kin (Helios). Nic nie umknęło. Dodatkowo Agora nie uzyskała zgody UOKiK na zakup większościowych udziałów w Radiu Zet, choć Orlen, już będący właścicielem RUCH SA, natychmiast otrzymał zezwolenie na transakcję przejęcia 24 regionalnych dzienników i 120 tygodników, wraz z drukarniami i lokalnymi portalami internetowymi.

Na tym nie koniec: ogłoszono właśnie zamiar podniesienia nadawcom radiowym udziału tzw. polskiej kwoty (czyli obowiązkowo nadawania wyłącznie polskich piosenek) z 33 do 49 proc. czasu antenowego, co, jak spodziewają się eksperci, wypchnie dużą część publiczności do globalnych platform streamingowych jak Spotify. Z kolei Ministerstwo Sprawiedliwości opublikowało projekt ustawy powołującej, orwellowską z nazwy, Radę Wolności Słowa, poprzez którą zasiadający w niej nominaci polityczni mogliby nakładać olbrzymie, nawet 50-milionowe, kary na „ograniczające debatę w internecie” serwisy i platformy społecznościowe. Przygotowywana jest także zmiana prawa koncesyjnego zawężająca autonomię prywatnych stacji radiowych i telewizyjnych. Więc nawet już nie dziwi, że rząd odmówił wprowadzenia w Polsce unijnej dyrektywy chroniącej prawa autorskie wydawców przed nadużyciami ze strony wielkich agregatorów treści. To wszystko wygląda na celową działalność zmierzającą do systemowego osłabienia, wyciercia polskiej niepaństwowych mediów.

„Uporządkowanie rynku medialnego” było istotną częścią programu PiS już w poprzedniej kadencji, jednak projekt ustawowej „dekoncentracji” okazał się zbyt trudny technicznie, ryzykowny prawnie i politycznie (pamiętamy ostrzeżenia ambasadora Mosbacher przed próbami zamachu na TVN). PiS skupił się więc na mediach publicznych, obsadził je swoimi ludźmi, włączył w centralnie zarządzany system propagandy. Teraz przyszła kolej na „porządkowanie” etap drugi. Już raczej nie w formie jednej dużej ustawy, ale „metodą salami” wypraktykowaną na Węgrzech przez Viktora Orbána: odcinania od źródeł dochodów, prawnych szykan, blokowania dostępu do informacji, nakładania mandatów, kar i podatków. Suma tych nacisków ma zapewne skłaniać właścicieli firm medialnych albo do uległości i ołożenia sobie stosunków z władzą, albo do wycofania się z rynku, odsprzedaży słabnących, okrajanych po kawałku biznesów, w ręce państwowych bądź podstawowych nabywców.

Być może protesty przyniosą jakiś skutek (co pan na to, panie wicepremierze Gowin?) i PiS się na chwilę cofnie. Ale jedyną prawdziwą bronią niezależnych mediów w tej nierównej walce są – przepraszam za oczywistość – widzowie, słuchacze i czytelnicy. Wciąż nie można zadekretować obowiązku oglądania TVP Info, czytania „Sieci” czy słuchania tego, co zostało z radiowej Trójki.



Jak PiS chciał zjeść przystawkę

Porozumienie **Jarosława Gowina** to ugrupowanie paradoksu: bez wyborców, za to z władzą. Teraz doszedł paradoks kolejny; od zeszłego tygodnia dwóch polityków uważa się za szefa partii.

Wyzwanie Gowinowi rzucił **Adam Bielan**. Jego wersja przedstawia się następująco: Gowin został wybrany na preza na trzyletnią kadencję w 2015 r. Drugi zjazd, na którym partia przyjęła obecną nazwę, odbył się jesienią 2017 r., ale nie przedłużył kadencji prezesa. Gowin zapowiedział wtedy kolejny kongres i wybory władz, ale nic takiego się nie wydarzyło. Jesienią 2020 r. Gowin przegrał głosowanie w prezydium Porozumienia w sprawie kandydata na ministra bez teki (został nim jeden z jego oponentów Michał Cieślak) i wówczas wprowadził więcej swoich ludzi do władz ugrupowania. Ludzie Bielana zaczęli wertować statut oraz dokumenty partyjne i odkryli, że mandat Gowina jako prezesa wygaś. Zarzucają też wicepremierowi, że napompuwał prezydium niegodnie ze statutem. A p.o. prezesa Porozumienia powinien być Bielan – jako szef konwencji krajowej ugrupowania.

Wiele jest barwnych elementów w tej historii, łącznie ze słuszerem, który „dla bezpieczeństwa” zmienił zamki w drzwiach siedziby partii, gdy gowinowcy odkryli, że Bielan szykuje pucz. Ale ciekawszy wydaje się polityczny kontekst tego kabaretu. Rozmówcy POLITYKI uważają, że Bielan był narzędziem Jarosława Kaczyńskiego, który chciał zniszczyć koalicjanta w zemście za to, że wiosną ub.r. szef Porozumienia myślał o dołączeniu do opozycji. W styczniu na nowo



niełatwe w obliczu konfliktu ziobrystów z premierem, teraz z nieskonsumowanym i rozłożyszonym Gowinem (zawiesił swój udział w radzie koalicji) będzie jeszcze trudniejsze. Nazwa Zjednoczona Prawica zaczyna oddawać rzeczywistość w takim samym stopniu co Porozumienie.

Ale i wicepremier wychodzi z awantury poobijany. Dementuje wieści o rozmowach z opozycją i nie zrywa sojuszu z kimś, kto drugi raz chciał go zjeść (pierwszą próbę podjęła kilka miesięcy temu Jadwiga Emilewicz). I niekoniecznie jest to objaw braku kręgosłupa, lecz racjonalna ocena – nie wszyscy posłowie, którzy go wsparli na wojnie z Bielanem, byliby skłonni opuścić Zjednoczoną Prawicę. Niewykluczone, że Gowin nie ma sił, by odebrać PiS większość.

Porozumienie czeka długa bitwa przed sądem powszechnym, który rozstrzyga spory w partiach. Gowin może tę batalię przegrać, a nawet jak wygra, to i tak marzenia o przekształceniu Porozumienia w normalną, pełnoobjawową partię są dziś dalekie od realizacji. (WBS)

rozbrzmiały plotki o rozmowach Gowina z Donaldem Tuskiem. Prezes PiS się przestraszył i pozwolił Bielanowi działać. Na udział PiS w puczu wskazuje fakt, że gowinowcy zostali wycięci z TVP.

Europoseł tę rundę przegrał. Wsparł go tylko jeden poseł – Kamil Bortniczuk – i został wraz z nim wyrzucony z partii. 12 posłów podpisało się pod deklaracją lojalności wobec Gowina. Zabrakło podpisów Cieślaka, Jacka Żalka oraz Włodzimierza Tomaszewskiego.

PiS po fiasku operacji musi udawać, że nie miał z nią nic wspólnego. Kaczyński kolejny raz w tej kadencji wykazał się deficytem sprawczości. Rządzenie, i tak

Szczepionka szczepionce nierówna?



W tym tygodniu program szczepień przeciwko koronawirusowi wzbogaci się o trzeci produkt: do szczepionek firm Pfizer/BioNTech i Moderna dołączy preparat opracowany na Uniwersytecie Oksfordzkim, a wytwarzany przez brytyjsko-szwedzki koncern AstraZeneca. Według danych, na podstawie których Europejska Agencja Leków (EMA) wydała pozytywną rekomendację dla warunkowej autoryzacji, szczepionka

„oksfordzka” zapobiega ok. 60 proc. zakażeń SARS-CoV-2, a więc jest pod tym względem mniej skuteczna od już stosowanych preparatów wykorzystujących mRNA (chroniących w ponad 90 proc.). Co więcej, mała liczba przypadków wśród seniorów uczestniczących w badaniu sprawiła, że w ocenie EMA nie można określić skuteczności produktu u osób powyżej 55. roku życia.

Te liczby działają na wyobraźnię, dlatego zeszłotygodniowa zapowiedź rządu, że szczepionką „oksfordzką” nie będą szczepieni seniorzy, ale otrzymują ją nauczyciele, wywołała burzę: szef ZNP Sławomir Broniarz zażądał dla pedagogów „skutecznej szczepionki, a nie eksperymentowania”. Produkt AstraZeneca może być jednak skuteczniejszy, niż wynika z danych rejestracyjnych: niedawna analiza wskazuje, że już jedna dawka ogranicza ryzyko wystąpienia objawów o 76 proc., chroni też w pełni przed ciężkim przebiegiem Covid-19 i zgonem. Skuteczna ochrona przed najgorszymi konsekwencjami choroby została już wcześniej wykazana w badaniu będącym podstawą rejestracji. Niewykluczone, że wraz ze spływaniem danych z kolejnych badań EMA aktualizuje oficjalne parametry szczepionki.

Tymczasem coraz większym wyzwaniem staje się ochrona przed nowymi wariantami SARS-CoV-2, które mogą wymykać się odpowiedzi immunologicznej – wyniki kolejnych badań wskazują, że takie cechy ma tzw. wariant południowoafrykański. Rozwiązaniem tego problemu, nad którym już pracują producenci, może być regularna aktualizacja składu szczepionki (podobnie jak w przypadku szczepień przeciwko grypie) lub podawanie kolejnych dawek, wzmacniających reakcję immunologiczną.

Wraz z rejestracją kolejnych szczepionek może pojawić się jeszcze więcej dylematów. Produkty firm Johnson & Johnson, CureVac i Novavax – które będą dostarczane w ramach wspólnych unijnych zakupów – najpewniej trafią do obrotu najpóźniej w ciągu 2–3 miesięcy. Każdy z tych produktów wykorzystuje inną technologię, a ich badania kliniczne mają własne niuanse: przykładowo skuteczność szczepionki Novavax w zapobieganiu zakażeniom wyniosła 89 proc. w badaniu przeprowadzonym w Wielkiej Brytanii, ale już tylko 60 proc. w badaniu z RPA. Warto jednak pamiętać, że kluczowym parametrem pozostaje ochrona przed ciężką chorobą, powikłaniami i zgonem, a każda z wiodących szczepionek jest pod tym względem wysoce skuteczna. (PŻ)

Koalicja 307

Antoni Dudek

Politolog i historyk, profesor nauk humanistycznych



Falstart – tak najkrócej można określić uruchomienie przez Borysa Budkę i Rafała Trzaskowskiego projektu Koalicja 276. Oczywiście sama idea konsolidacji opozycji jest równie słuszna, co oczywista, a PO mającej wciąż wedle większości sondaży status głównej siły opozycyjnej trudno odmawiać prawa do jej podejmowania. Jednak sposób, w jaki ją przedstawiono, sprawił, że natychmiast doczekała się następującej odpowiedzi ze strony jej głównego adresata, czyli Szymona Hołowni: „Niepokoi mnie planowanie małżeństwa bez pytania o zdanie wybranka. Trudno mówić o poważnym związku, gdy dowiadujesz się o nim z YouTube”. Reakcje innych potencjalnych kooperantów z Lewicy i PSL były jeszcze mniej uprzejme, co nie może dziwić, jeśli się zna polską kuchnię polityczną.

Borys Budka twierdził, że w minioną sobotę zdradził jeden z „sekreto” owej kuchni, ujawniając, że z trzech wybranych przez niego sondaży wynika szansa opozycji (tej na lewo od PiS) na zdobycie magicznej liczby 276 mandatów poselskich, czyli 3/5 umożliwiających przełamywanie prezydenckiego weta. Pójdę drogą wskazaną przez lidera PO i zdradzę kolejny „sekre”: jeśli polityk publicznie wzywa polityków z innych partii do współpracy, nie uzgadniając tego z nimi wcześniej i nie zapraszając ich do udziału we wspólnej imprezie, to wysłał im dokładnie przeciwny sygnał. I tak też został on odebrany. Nie potrafię natomiast wyjaśnić innego sekretu: czemu miało to służyć? Bo z całą pewnością nie temu, aby „nasi przyszli partnerzy poznali nasze pomysły”, jak później Budka wyjaśniał w TVN24 cel owego show, w którym zabrakło symbolicznego nawet miejsca dla trzech ciągle istniejących (?) sojuszników PO z Koalicji Obywatelskiej.

Nie będę się tu znęcał nad listą owych pomysłów, bo inni zrobili to już skuteczniej ode mnie. Tym bardziej że w tak krótkim czasie,

jaki narzucił sobie tandem Budka-Trzaskowski, trudno byłoby przedstawić jakiegokolwiek sensowny pomysł na bodaj jedną sferę funkcjonowania państwa. A tym bardziej na całociowy program obejmujący tak różne obszary, jak wymiar sprawiedliwości, służba zdrowia, szkolnictwo czy ekologia. A o tym wszystkim – i nie tylko o tym – obaj panowie zdążyli wspomnieć w ciągu zaledwie 30 min, prezentując znane wszystkim od dawna, ogólnie słuszne postulaty.

I w sumie bardzo dobrze, że nie wyszli poza ogólniki, bo w takiej konfrontacyjnej formule przywiązywanie się do jakichkolwiek szczegółowych rozwiązań mogłoby tylko dodatkowo utrudnić przyszłe rozmowy, które politycy wezwani przez liderów PO do mitycznej Koalicji 276 rzeczywiście powinni ze sobą zacząć. Co więcej, powinni je zacząć z najwyższego możliwego pułapu, czyli od spokojnej dyskusji na temat projektu nowej konstytucji. Dyskusji toczonej oczywiście bez pośrednictwa mediów.

Rzecz jasna Koalicja 307, umożliwiająca zmianę ustawy zasadniczej, jest jeszcze mniej prawdopodobna od tej obdarzonej liczbą 276. A jednak wydaje się, że właśnie hasło nowej konstytucji, pod którą gotowi byłiby się podpisać politycy Lewicy, Polski 2050, PSL i KO – a być może ktoś jeszcze – to slogan znacznie bardziej przemawiający do wyobraźni wielu opozycyjnych wyborców od martwych bez jej zmiany zapowiedzi wymiany obecnego składu TK czy wprowadzenia mechanizmu odwoływania posłów i senatorów w drodze referendum. A takie właśnie pomysły zakomunikowali z pomocą YouTube swoim „przyszłym partnerom” liderzy PO. Projekt konstytucji na miarę wyzwania, jakie niesie XXI w., to być może jedyna realna szansa w tej dekadzie dla wszystkich przeciwników PiS, aby bodaj przez chwilę pomarzyć o znalezieniu wspólnej recepty na Polskę urządzoną inaczej niż wedle recepty Jarosława Kaczyńskiego. A jak uczy historia, wszystkie wielkie zmiany polityczne zaczynały się od utopijnych marzeń.

Gdzie dorabiają współpracownicy Sasina

Jacek Sasin potrafi zadbać o politycznych współpracowników. W styczniu na szefa swojego wicepremierskiego gabinetu politycznego awansował Ryszarda Madziara. Wcześniej Madziar był szefem gabinetu Sasina w Ministerstwie Aktywów Państwowych. W MAP jego miejsce zajął Marcin Kowalczyk. Kowalczyk, przechodząc do resortu, musiał pożegnać się z fotelem prezesa państwowej PGE Dystrybucja, a także – wysoką pensją. Jednak Jacek Sasin, który ma władzę nad intratnymi stanowiskami w państwowych spółkach, do 8 tys. zł pensji szefa gabinetu dorzucił jeszcze Kowalczykowi miejsca w dwóch radach nadzorczych (PKP Cargo i PGE), czym wyrównał mu finansowe straty – miesięcznie dorobi bowiem ok. 22 tys. zł.

Ryszard Madziar, były burmistrz Wołomina, który w chudych latach poratował Sasina pracą w urzędzie, już rok temu został członkiem rady nadzorczej

Totalizatora Sportowego, a latem – także rady energetycznej spółki Tauron. Dodatkowo w od czterech lat jego żona jest prezeską spółki Rondo (spółka córka PGZ) z pensją ponad 11 tys. miesięcznie. Rok temu zapytaliśmy MAP o wykształcenie Ryszarda Madziara, bo zgłosiły się do nas osoby, które podają je w wątpliwość. Do dziś nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

Nie tylko wicepremier Sasin urządził sobie dwa gabinety. Wicepremierzy Jarosław

Gowin i Piotr Gliński też mają po dwa, w swoich resortach i w KPRM. Z czterech wicepremierów najliczniejszy gabinet przy AI. Ujazdowskich ma Jarosław Kaczyński, jednak żadnemu z jego czterech członków nie załatwił dodatkowej fuchy w państwowej spółce. Również żaden z czterech resortowych współpracowników Jarosława Gowina nie dorabia w spółkach. Za to dwóch z siedmiu doradców z ministerialnego gabinetu Jarosława Gowina i owszem. Szef jego gabinetu Tomasz Michałowski – w radzie nadzorczej Dolnośląskich Zakładów Usługowo-Produkcyjnych, a doradca Michał Olszewski – w dwóch innych radach nadzorczych. Jeden z naszych rozmówców z KPRM potwierdza, że Sasin finansowo najlepiej zadbał o swoich najbliższych politycznych współpracowników: – *Akurat w tych radach, do których wysłał Madziara i Kowalczyka, można bardzo dobrze zarobić. Posiedzeń nie ma zbyt wiele, a dodatkowa kasa co miesiąc wpada i to zdecydowanie większa niż pensja szefa gabinetu politycznego.* To nie jest sprawiedliwe, ale Sasin widać może więcej. (DĄB.)



Jacek Sasin

Ryszard Madziar

Marcin Kowalczyk

Kup książkę



Kapitan Tom Wielkie Serce

Nie otrzymał pierwszej dawki szczepionki, bo zachorował na zapalenie płuc, stwierdzono u niego covid, miał problemy z oddychaniem, trafił do szpitala. Kiedy zmarł, flaga na Downing Street została opuszczona do połowy masztu, a z kondolencjami pospieszyli królowa, premier i szef opozycji. Brytyjczycy mają nowego bohatera

narodowego, Kapitana Toma. Pamiętnego stulatką, weterana II wojny, który w kwietniu ub.r. błyskawicznie zasłynął w światowych mediach i internecie swoją niecodzienną akcją charytatywną. Ogłosił, że posługując się chodzikiem, sto razy okrąży domowy trawnik, aby zebrać tysiąc funtów na rzecz NHS, publicznej służby zdrowia.

Wciągu niecałego roku **kapitan Tom Moore** zebrał 33 mln funtów od 1,5 mln ofiarodawców z całego świata (pobijając przy okazji przynajmniej dwa rekordy Guinnessa) i z dnia na dzień stał się celebrytą. Od Elżbiety II otrzymał tytuł szlachecki i awansował na honorowego pułkownika, nagrał cover „You’ll Never Walk Alone”, który zaszedł na szczyt listy przebojów, opublikował autobiografię, jego portret trafił do Muzeum Armii, a popiersie do NHS, znalazł się też na dziesiątkach murali, zaś w setne urodziny (oprócz 150 tys. kartek z życzeniami) odebrał defiladę myśliwców RAF przelatujących nad jego domem.

Zasłynął przytaczaną po wielokroć frazą, że „jeszcze nad nami zaświeci słońce i rozstąpią się chmury”, dosyć banalna, ale idealnie trafiająca w covidowe nastroje. A jako weteranowi (z Birmy), z medalami na piersi, udało mu się połączyć, spiąć klamrą, dwie emocjonalne epoki w dziejach Wielkiej Brytanii, tamten dramatyczny wojenny wysiłek z obecnym poświęceniem. Wstrzelił się w kult wyczynu i okazał medialnym objawieniem, zwłaszcza na potrzeby nowych mediów. Dlatego szybko zajął poczesne miejsce w tworzącej się ikonografii pandemii. „W najgłębszym powojennym kryzysie tego kraju zjednoczył nas wszystkich” – napisał w oświadczeniu premier Boris Johnson, z covidowym patosem.

Źle wyszło, drogoj Żozep

Aleksiej Nawalny posiedzi tyle, ile trzeba. Już odwiesili mu wyrok za rzekomą defraudację pieniędzy na szkodę firmy kosmetycznej Yves Rocher. Teraz sądzą go za „obrażanie” weterana II wojny światowej, który wziął udział w propagandowym filmiku przygotowanym przez władze. W zanadru są inne sprawy, za które należy się odsiadka. Nawalny miał na przykład „okraść” swoją własną Fundację (wyrok nawet do 10 lat). A może okazać się, że jest szpiegiem. Sam Władimir Putin oznajmił, że materiały mówiące, że to FSB stało za akcją otrucia opozycjonisty, pochodzą „nie z żadnego dziennikarskiego śledztwa”, a wprost z CIA.

Pytanie, co na to wszystko Rosja? Czy obywatele będą nadal wychodzić na ulicę? Razy pałką i odsiadki mogą zmieknąć najbardziej zbuntowanego. Zagadką jest też, czy Fundacja Walki z Korupcją, którą stworzył Nawalny, jest w stanie dalej działać. Szef siedzi, kluczowi współpracownicy też. Będą nowe filmy o tym, jak kremlowska oligarchia okrada Rosję? Ten ostatni o carskim pałacu prezydenta miał blisko 110 mln odsłon i ponad 1,7 mln komentarzy.

Jest oczywiste, że Kreml się wystraszył. Jednak liczby przekonują, że na jakąkolwiek zmianę chyba zbyt wcześnie. Poparcie dla Putina jest na poziomie 64 proc. (dokładnie tyle co przed rokiem). Nawalnemu wierzy ledwie 19 proc. badanych, zaś negatywnie ocenia go aż 56 proc. Bohaterski powrót do Moskwy i emisja filmu nie zmieniła niczego w ocenach. Grigorij Jawliński, weteran demokratycznej opozycji, chłodno podsumował, że z wielu milionów widzów filmu na ulice w całej Rosji wyszło 200 tys. osób. Przy okazji wywołał burzę, pisząc, że polityczny program Nawalnego to populizm i nacjonalizm. W tę zawiłą sytuację wmieszał się szef unijnej dyplomacji. Chociaż byli tacy, którzy przestrzegali Josepa Borrellę przed wyprawą do Moskwy w momencie, gdy sukces jest



Od lewej: **Josep Borrell** i **Siergiej Ławrow** na konferencji prasowej w Moskwie.

nierozsądny, za to despekt pewny. Inni doradzali, by przynajmniej spotkał się z kimś od Nawalnego. Nie posłuchał.

Siergiej Ławrow witał więc „drogowsko Żozepa” przyjaźnie. A potem przez 50 minut bezlitośnie grillował na wspólnej konferencji – wymawiając, jaka Unia jest „niewiarygodna” i ile szkód już zdążyła wyrządzić swoimi „geopolitycznymi awanturami”. Borrell uśmiechał się błodo, nie wiedząc, że Moskwa właśnie podjęła decyzję o wydaleniu trzech unijnych dyplomatów (w tym przedstawicielkę Polski). Gdy wrócił do domu, czekał go kolejny afront. Okazało się, że zagrał w propagandowym filmiku wymierzonym w Nawalnego (został zmontowany z wypowiedzi samego opozycjonisty oraz słów Borrelli i Ławrowa). Rosyjskie MSZ puściło filmik na Twitterze i zakończyło go wezwaniem: „Nie dajcie się oszukiwać”, co Josep Borrell powinien wziąć sobie do serca.

PAWEŁ RESZKA

Rozmowa z Iwanem Wyrupajewem na s. 20.



Wojny traktorowe

Indie słyną z protestów, każdego dnia jakaś grupa wyraża głośno swój gniew, często, dla większej skuteczności, docierając z nim do stolicy. Ale obecny protest rolników, którzy przy wsparciu 40 central związkowych od trzech miesięcy na obrzeżach Delhi blokują drogi dojazdowe, wymyka się dotychczasowym standardom. W kilku dobrze zorganizowanych obozach jest ich, z rodzinami, nawet pół miliona. Protest ma spokojny i pokojowy przebieg, ale w Dzień Niepodległości dokonał się wyłom: szturmowa grupa traktorzystów, łamawszy umowy z policją, zdobyła w stolicy Czerwony Fort, miejsce głęboko symboliczne, i zawiesiła nad nim flagę. Doszło przy okazji do potężnych starć z siłami porządku, co nadszarpnęło publiczny obraz manifestacji (choć jedna z prawdopodobnych interpretacji głosi, że była to rozbijacka prowokacja władz). W sumie to największy kryzys społeczny za rządów nacjonalisty Narendra Modiego, czyli od 2014 r.

Poszło o trzy ustawy dotyczące liberalizacji rynku rolnego, przyjęte we wrześniu – szybko, bez konsultacji i pod osłoną pandemii. Były przedstawiane jako od dawna niezbędna wolnorynkowa reforma uwalniająca ceny. Rolnicy na niej zarobią. Ci z kolei przyjęli ją jako wielkie zagrożenie ze strony pośredników, a także wielkich koncernów, które mogą zmonopolizować skup, obniżyć ceny i w efekcie pozbawić ziemi. Wiadomo, z koncernami nikt tu nie wygrał. Obecnie w indyjskim rolnictwie, które skupia połowę ludności, większość poletek nie ma hektara i stale ulega rozdrobnieniu, istnieje też cała armia zaciężnych robotników rolnych, obowiązujące ceny gwarantowane i skomplikowany system dopłat do wszystkiego, łącznie z energią elektryczną. Dawał samowystarczalność żywnościową i wiązał miliony rąk, ale miał też oczywiste wady oraz koszty. Również ekologiczne, których już nie można bagatelizować. Stąd decyzja Modiego. Protestujący domagają się anulowania ustaw, rząd proponuje ich zawieszenie, 11 rund rozmów nie przyniosło oczekiwanego rezultatu, a obie strony raczej usztywniły stanowiska. Protesty i blokady rozlewają się po całym kraju.

Jak to się stało, że premier, świetny komunikator i wzięty populistą, nagle stracił słuch? Istnieje interpretacja, że stał się niewolnikiem swoich sukcesów. Do tej pory sprawnie rozładowywał podobne sytuacje i emocje, napuszczając jednych na drugich, pod sztandarami hinduskiego nacjonalizmu. Teraz społeczne sympatie są niezmiennie po stronie strajkujących. Chyba że uda się ich zohydzić, a strajki rozbić siłą.

Czarne pokoje dla Ujgurek

Conocne gwałty, codzienne tortury – takich dramatów doświadcza wiele ujgurskich kobiet w chińskich „obozach odosobnienia”, twierdzi w specjalnym raporcie BBC. Reporterzy stacji dotarli m.in. do Tursunay Ziawudun, która w jednym z takich obozów w prowincji Sinciang spędziła ponad dziewięć miesięcy. Ziawudun opowiada, że oprawcy za dnia wchodzili do cel i wybierali sobie kobiety, a potem po północy zabierali je do tzw. czarnego pokoju (bez kamer) i wielokrotnie gwałcili, nie zdejmując przy tym masek. Podobnych świadectw BBC zebrała kilkanaście.

Według niezależnych źródeł we wspomnianych „obozach odosobnienia” na terenie Chin przebywa obecnie ponad milion przedstawicieli mniejszości etnicznych, głównie Ujgurów – to grupa etniczna pochodzenia tureckiego, w większości muzułmanie. Chińskie władze twierdzą, że pobyt w obozach jest dobrowolny i ma na celu „reedukację”. Organizacje humanitarne przekonują, że owa „reedukacja” to finał stopniowego procesu odbierania praw mniejszościom, który w praktyce oznacza pozbawienie wolności, polityczną indoktrynację, a nawet przymusową sterylizację. W ubiegłym miesiącu rząd USA uznał te działania Pekinu za ludobójstwo.

Chińskie władze zaczynają naciskać na kraje, które udzieliły Ujgurem schronienia, m.in. Kazachstan i Turcję. W tym ostatnim kraju – jako „bracia muzułmanie” – od lat mogli liczyć na gościnę. Ale to się zmienia. Pograżona w kryzysie gospodarczym Turcja zabiega o chińskie inwestycje. Pekin postawił jednak warunek: umowa ekstradycyjna. Zbiegło się to z licznymi ostatnio aresztowaniami ujgurskich działaczy w Turcji pod zarzutem działalności terrorystycznej.

Wszyscy do szalupy!

Gdy liczba włoskich ofiar koronawirusa przekroczyła już 91 tys., a gospodarka szoruje po dnie, walcząc z największym kryzysem od czasu II wojny światowej, szeregi centrolewicowej koalicji rozsadził konflikt premiera Giuseppe Contego i jego mniejszościowego koalicjanta, byłego premiera Matteo Renzi. Renzi wycofał swoje poparcie dla Contego, usprawiedliwiając się ogólnikami, ale nie jest tajemnicą, że postanowił jego kosztem zwiększyć swój skromny kapitał polityczny, wyceniany w sondażach na ok. 2 proc.



Pomimo wielu rund rozmowy o utworzeniu rządu nie przyniosły sukcesu i Conte musiał podać się do dymisji. Gdy stało się oczywiste, że trzeci rząd pod wodzą premiera Contego nie powstanie, wówczas prezydent Sergio Mattarella stanął przed wizją wcześniejszych wyborów. Te jednak wepchnęłyby Włochy w kilkumiesięczną wojnę polityczną. Dlatego Mattarella mianował premierem technicznym **Mario Draghi**, powszechnie szanowanego byłego prezesa Europejskiego Banku Centralnego. Teraz to przed nim stoi zadanie szybkiego stworzenia rządu, który będzie walczył z pandemią i skutecznie wyda ponad 200 mld euro, które należą się Włochom w ramach unijnego Funduszu Odbudowy. Już teraz Draghi mówi o Funduszu jako o polisie ubezpieczeniowej dla przyszłych pokoleń i wie, że drugiej takiej szansy dla państwa, którego dług publiczny wzrósł w 2020 r. do 157 proc. PKB, nie będzie. Na początku jednak musi zmierzyć się z klęską urodzaju: generalne poparcie dla jego rządu deklarują już wszystkie partie, z wyjątkiem skrajnie prawicowych Braci Włoskich. Ale o sukcesie zadecydują konkrety: przewidziane na ten tydzień negocjacje, jak pogodzić interesy całej klasy politycznej, która zajęła miejsca w jego szalupie ratunkowej.

Polityczny zawód medyczny

Joanna Podgórska

Kto kontroluje płodność człowieka, ten kontroluje jego życie. A żeby lepiej kontrolę sprawować, należy jej poddać także tych, którzy tę płodność pomagają regulować – ginekologów. W III RP ta specjalizacja medyczna została niebezpiecznie uwikłana w politykę.

Spór o to, kto ma sprawować kontrolę nad płodnością – władza świecka, duchowna czy sam obywatel – jest w istocie sporem o demokrację i prawa człowieka. Historia dostarcza tu wielu ponurych przykładów. Najbardziej brutalnym eksperymentem w tej dziedzinie była Rumunia pod rządami Nicolae Ceaușescu. Dietność stała się tam częścią gospodarki planowej, a kobiety potraktowano jak maszynę do produkcji nowych, socjalistycznych jednostek. Ginekologów zostali poddani ścisłej kontroli i inwigilacji. W szpitalach na stałe rezydowali funkcjonariusze milicji i Securitate, by wylapywać podejrzanе poronienia. Co jakiś czas organizowano pokazowe procesy lekarzy. W Polsce Ludowej w tym czasie obowiązywało bardzo liberalne prawo, a liczba aborcji sięgała nawet 300–400 tys. rocznie.

To się zmieniło w III RP, i to od razu radykalnie. Politycy solidarnościowi z przekonania, ale też szukając poparcia potężnego wtedy Kościoła katolickiego, zdecydowali się na drażniące zaostreżenie prawa aborcyjnego w 1993 r., czemu towarzyszyły potężne protesty. Późniejsze próby liberalizacji prawa były krótkotrwałe i ostatecznie w 1997 r. Trybunał Konstytucyjny przypieczętował tzw. kompromis aborcyjny, dopuszczający przerwanie ciąży w trzech przypadkach: przestępstwa, zagrożenia życia kobiety i ciężkich wad rozwojowych płodu.

Mimo że projekty zaostreżenia i tak restrykcyjnego prawa do przerywania ciąży wracały jak bumerang w kolejnych kadencjach Sejmu, lekarze, poza nielicznymi wyjątkami, nie upominali się o lepszy dostęp do antykoncepcji czy edukacji seksualnej. Tym głośniej wybrzmiewały głosy takich lekarzy jak prof. Bogdan Chazan. W 2014 r. głośna była sprawa pacjentki, której odmówił legalnego zabiegu i nie wskazał placówki, która dokona aborcji. Kobieta została zmuszona do urodzenia ciężko uszkodzonego dziecka – zmarło po pięciu dniach. Zgłosiła sprawę do prokuratury, ale ta umorzyła śledztwo. Jej skargę przyjął natomiast Europejski Trybunał Praw Człowieka. Sprawa jest w toku.

Lekarze tacy jak prof. Chazan wywalczyli sobie klauzulę sumienia, która pozwala ubiegającą się o legalny zabieg pacjentkę odesłać donikąd. Część lekarzy podpisywała tę klauzulę pod presją albo dla świętego spokoju. Po co komu pikietę „obrońców życia” pod

szpitalem czy oskarżenia o mordowanie dzieci nienarodzonych?

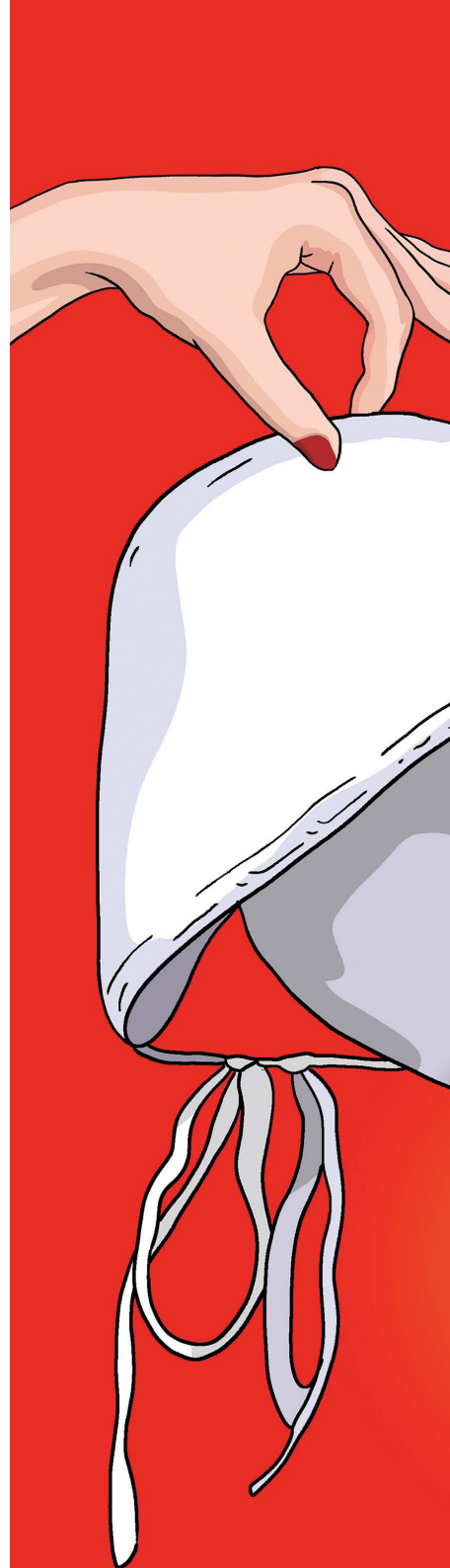
Prof. Wacław Dec przed laty próbował przezwyciężyć złą historię i przyznał, że gdy na oddział trafia kobieta w ciąży, która ma już piątkę dzieci i męża alkoholika, przeprowadza się zabieg, wpisując w karcie co innego. Na profesora posypały się gromy. Grożono mu utratą prawa do wykonywania zawodu. Kłopoty miał nawet po śmierci – biskup zabronił odprawienia mszy na jego pogrzebie. Inni woleli po cichu zejść do podziemia. Zyskowne, ale ryzykowne. Rzadko, bo rzadko, ale zdarzają się policyjne kontrole w prywatnych gabinetach. Choćby na skutek donosu. Funkcjonariusze przeszukują gabinet, zabezpieczają materiały. Pacjentka traktowana jest w takich przypadkach jako ofiara. Nie grozi jej odpowiedzialność karna.

Teraz zrobiło się jeszcze groźniej. Po zawiadomieniu organizacji Pro – Prawo do życia białostocka prokuratura wystąpiła do jednego z tamtejszych szpitali o kopie dokumentacji i dane pacjentek. Chce sprawdzić, czy w czasie między 22 października, czyli ogłoszeniem wyroku przez TK, a jego opublikowaniem, nie przeprowadzano tam aborcji z przyczyn embriopatologicznych.

Mimo że – jak wynika z badania portalu Konsylium24 – zwolennicy całkowitego zakazu przerywania ciąży wśród lekarzy byli marginesem, to oni narzucali ton środowisku. Pierwszym zbiorowym przejawem zmiany nastawienia środowiska medycznego była inicjatywa Lekarzy Kobietom. Powstała w 2017 r., gdy PiS odebrał kobietom prawo dostępu do tabletki „dzień po” bez recepty. Ówczesny minister zdrowia Konstanty Radziwiłł stwierdził, że on nie wypisałby takiej recepty nawet zgwałconej dziewczynce, bo mu sumienie nie pozwala. Wielu lekarzy uznało wówczas, że ich sumienie nie pozwala im zostawić kobiet bez pomocy. Powstała lista miejsc, gdzie mogą od ręki i za darmo uzyskać receptę.

Po ogłoszeniu wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej pod stanowiskiem Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników podpisało się już kilka tysięcy lekarzy. „My, lekarze, jako pierwsi jesteśmy przekazicielami tych bardzo przykrych wiadomości, niestety jesteśmy też tymi pierwszymi, którzy widzą ból i cierpienie kobiet (...). Mając do czynienia z kobietami w ciąży rozwijającej się skrajnie nieprawidłowo, jesteśmy świadkami rozpacz i tragedii ciężarnych i ich rodzin”. W swoim stanowisku PTGiP wyraża dezaprobatę i ubolewanie, bo wyrok odbiera kobietom prawo wyboru, a medykom możliwość niesienia pomocy zgodnie z Kodeksem Etyki Lekarskiej.

A na lekarzy ginekologów przerzuca moralny ciężar, zawodowe i osobiste ryzyko stosowania, narzuconego przez polityków, prawa.



ILUSTRACJA MARTA FREJ

Ciąże państwowe

Rozmowa z dr. Maciejem Sochą o tym, jak politycy odebrali godność lekarzom, rodzicom i dzieciom.

JOANNA PODGÓRSKA: – „**Siedzę za szafą i nie mogę się pozbierać**” – to reakcja młodej ginekolożki na publikację orzeczenia Trybunału. Jaka była pańska?

MACIEJ SOCHA: – Dla mnie to także bardzo trudna sytuacja, bo ja tak naprawdę prawie nie mam życia poza ginekologią. Pracuję bardzo intensywnie. Zajmuję się zarówno położnictwem i perinatologią, jak i ginekologią operacyjną, onkologiczną i uroginekologią. Jestem bardzo blisko kobiet. Pracuję z parami, których dzieci dotknięte są ciężkim i nieodwracalnym uszkodzeniem. Rozmawiając z nimi, przechodzę pewną drogę. Ona rozpoczyna się już na etapie problemów z zająciem w ciąży i dylematów, co powiedzą inni, kiedy dowiedzą się, że to dziecko z in vitro. Kolejnym krokiem jest radość ze stwierdzenia ciąży. Dopiero potem pojawiają się podejrzenia nieprawidłowości w badaniu USG. To zawsze jest moment wstrząsu, ale zaczynamy diagnostykę – serię badań ultrasonograficznych, pobieramy próbki do badań biochemicznych, oceniamy ryzyko zespołu Downa, Edwardsa, Patau, badamy nawet tzw. wolne DNA płodowe, wyizolowane z krwi matki.

Pracuję także w prywatnej poradni perinatologicznej, gdzie robimy najnowocześniejsze badania na europejskim poziomie, nieporównywalnym do tego, co oferuje publiczna poradnia. Ostatecznie, kiedy jesteśmy pewni, z jakim schorzeniem mamy do czynienia, stawiamy ostateczną diagnozę. Nie mogę słuchać polityków czy dziennikarzy, którzy próbują toczyć dyskusje na ten temat, nie mając żadnej wiedzy. Rozpoznanie w medycynie płodowej to zazwyczaj nie są pojedyncze wady czy nieprawidłowości. To nie takie proste. Najczęściej, gdy mamy do czynienia z dzieckiem, które ma nieprawidłowy kariotyp i np. dodatkowy chromosom 13. pary, towarzyszą mu inne wady. Każdą z tych nieprawidłowości muszę opisać rodzicom i wytłumaczyć, co oznacza. Do dziś pamiętam pierwszą holoprozencefalię, o której musiałem rozmawiać.

Co to jest?

Ciężka wada wrodzona przodomózgowia. Kiedy rodzice nie bardzo potrafili zrozumieć, na czym to polega, i poprosili, żebym narysował, jak wygląda buzia ich dziecka, nie wiedziałem, czy ja w ogóle mam prawo o czymś tak trudnym im opowiedzieć. To dziecko miało jedno oko, a nad tym okiem coś, co było podobne do nosa. Rysowałem i z nerwów ręka zaczęła mi drżeć. Mąż pacjentki przytrzymał mi dłoń i chcąc mnie uspokoić, powiedział, żebym się nie martwił. To on mnie uspokajał. Gdy skończyłem i obejrzelisi rysunek, byli w stanie powiedzieć tylko: panie doktorze, to coś strasznego. To nie są sytuacje, gdy mamy do czynienia z bólem głowy w trakcie miesiączki czy nawet rakiem jajnika, gdzie możemy włączyć chemioterapię i walczyć. Tutaj najczęściej widzimy coś strasznego. Sytuacja jest beznadziejna, bo wiemy, że to rozpoznanie oznacza śmierć. Nie mamy szansy na jakąkolwiek terapię. Nie jesteśmy nawet w stanie zmniejszyć bólu tego dziecka, bo jest w macicy, a ból rodziców nasila poczucie bezsilności. Dla mnie decyzja o tym, by nie zakończyć ciąży, kiedy prosi o to para, jest z punktu widzenia etycznego uprzejmą terapią płodu i torturą dla kobiety i mężczyzny. Rodzice chcą i muszą wiedzieć wszystko, bo to oni starannie ważą tę decyzję. I jeśli ktoś mi mówi, że podejmują ją ot tak – proszę, żeby się po prostu zamknął. Aborcja w takich sytuacjach bywa podyktowana miłością, głębokim współczuciem i chęcią oszczędzenia dziecku cierpienia.

Prawicowi politycy powiedzieliby, że uprawia pan eugenikę.

Proszę wybaczyc, ale gdy słyszę coś takiego, to mówiąc językiem Strajku Kobiet, jestem wk...ony. Nie znajduję innych słów. Ktoś, kto tak mówi, nie ma elementarnej wiedzy na ten temat. Przy czym moim zdaniem to nie o brak wiedzy tu chodzi, ale o cyniczną wrzutkę tego pojęcia w przestrzeń publiczną, stosowaną przez polityków. A potem ludzie, na zasadzie automatyzmu, powtarzają określenie aborcja eugeniczna. Bez refleksji, jakim złem jest to słowo i jak krzywdzi pary, które zdecydowały się na aborcję eutanatyczną. Ja na co dzień widzę, jak trudno jest im poradzić sobie w takich sytuacjach z życiem, z emocjami, traumą. Nie ma we mnie zgody na neutralny, symetryczny dyskurs. Osoby postronne winny się wstrzymać od ocen.